

Na zdjęciu:
wnętrze kaplicy
z obrazem Matki Bożej
w kościele pocysterskim
w Rudach

Zdjęcia:
Marek Dworaczek
i archiwum

GOŚĆ DIEDZIELNY





Życzenia Biskupa Gliwickiego na Boże Narodzenie i Nowy Rok

Drodzy Bracia i Siostry!

*„O Emmanuelu, nasz Królu
i Prawodawco, oczekiwanie narodów
i Zbawicielu ich: przyjdź zbawić nas,
Panie, Boże nasz!”*

*W duchu tych słów antyfony ostat-
nich dni Adwentu zwracam się do
wszystkich mieszkańców umiłowanej
diecezji gliwickiej z życzeniami:
Emmanuel! Bo czegoż bardziej
możemy sobie życzyć, aniżeli tego
ażeby Bóg był z nami, więc tego też
z całego serca życzę! I proszę wszyst-
kich, ażeby przyjęli te życzenia.*

*Niech one pozwolą nam lepiej przyjąć
Chrystusa. Niech one pomogą wszyst-
kim otworzyć się na siebie nawzajem.*

*Pragnę, aby te życzenia dotarły do
każdego domu, do każdej rodziny.
Święta Bożego Narodzenia to szcze-
gólny czas zbliżenia ludzi w gronie
rodzinnym, w ciepłe rodzinnego
ogniska.*

*Rodzicom życzę spełnienia ich
pragnień w stosunku do dzieci. Mło-
dym życzę, aby w szczególny sposób
objawiło się im człowieczeństwo; to
jest „dobroć i miłość Zbawiciela,
naszego Boga”.*

*Ogarniam tymi życzeniami kapła-
nów, siostry zakonne i wszystkich
związanych życiem i posługą z naszymi
parafiami. Przyjmijcie też Moi
Drodzy, szczególne słowa wdzięcz-
ności, słowa braterskiej wspólnoty.*

*W szczególny też sposób zwracam
się do chorych, cierpiących, starych,
opuszczonych, wyobcowanych, do
tych wszystkich, którzy są samotni,
z dala od swoich rodzin. Proszę Was,
abyście przyjęli tę miłość, jaką ofiaru-
je wam Chrystus narodzony dla
zbawienia każdego człowieka.*

*Zwracam się do wszystkich środo-
wisk nauki, twórczości artystycznej,
do wszelkich środowisk pracy, do
wszystkich instytucji życia wspólnego
o wielorakim profilu ze słowami:
„Pokój ludziom dobrej woli”, bo
takie orędzie zostało wypowiedziane
w grocie betlejemskiej.*

*Oby spełniło się w naszym życiu to,
co głosi liturgia świąt Bożego Naro-
dzenia. Obyśmy przeżyli całą głębią
naszej świadomości, że „przyszł
Pan”. I obyśmy „widząc Jego
chwałę” znaleźli kiedyś w niej uczest-
nictwo. Niech Boża Dziecina,
Emmanuel, błogosławi nam i Ojczyź-
nie naszej i będzie z nami w całym
nadchodzącym roku Pańskim 1995.*

*Wasz Biskup
f. m.*

Nasza diecezja



Diecezja gliwicka została powołana do życia przez papieża Jana Pawła II bullą *Totus tuus Poloniae*, datowaną w uroczystość Zwiastowania Pańskiego 1992 r. Gliwice stały się stolicą diecezji, a parafialny kościół pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła został podniesiony do godności kościoła katedralnego.

Neogotycki kościół katedralny był budowany w latach 1896–1900, a konsekrowany został 16 maja 1900 r. przez ówczesnego księcia biskupa wrocławskiego kardynała Jerzego Koppa.

Pierwszym ordynariuszem nowo utworzonej diecezji został mianowany biskup Jan Wierzykowski, wcześniej biskup pomocniczy diecezji opolskiej. Uroczysty ingres biskupa diecezjalnego do katedry gliwickiej odbył się w sobotę 23 maja 1992 r. Biskupem pomocniczym mianowany został wcześniej sufragan opolski, biskup Gerard Kusz.

Na siedzibę kurii diecezjalnej obrano budynek dawnego konwiktu „Albertinum”, położony przy ul. Łużyckiej. W tym budynku, wzniesionym w

1930 r. mieściło się po II wojnie światowej Niższe Seminarium Duchowne Śląska Opolskiego. W 1963 r. budynek „Albertinum” został bezprawnie i siłą przejęty przez ówczesne Prezydium MRN w Gliwicach na rzecz Skarbu Państwa i przeznaczony dla Studium Wojskowego Politechniki Śląskiej. W 1992 r. budynek został zwrócony Kościołowi. Obecnie trwają tam jeszcze prace remontowo-budowlane.

Terytorium diecezji gliwickiej zostało wydzielone z południowo-wschodniej części diecezji opolskiej i z północnej części diecezji katowickiej. Diecezja gliwicka, zajmująca obszar 2.030 km², graniczy od zachodu z diecezją opolską, na północy z archidiecezją częstochowską, od wschodu z diecezją sosnowiecką, a od południa z archidiecezją katowicką. Diecezja gliwicka wchodzi, obok diecezji opolskiej i katowickiej w skład Metropolii Górnośląskiej.

Najbardziej na północ wysuniętą parafią diecezji gliwickiej są Herby Śląskie w województwie częstochowskim, natomiast na południu Babice koło Raciborza.

Patronami głównymi diecezji są święci Apostołowie Piotr i Paweł, patronują jej również Matka Sprawiedliwości i Miłości Społecznej oraz św. Anna.

Diecezja gliwicka liczy około 812.000 mieszkańców, a z tego 745.000 osób to katolicy, co stanowi ponad 90% ogółu ludności.

Diecezja jest podzielona na 18 dekanatów i obejmuje 147 parafii, spośród których 130 parafii prowadzą księża diecezjalni, a 17 parafii prowadzonych jest przez duchowieństwo zakonne z 10 różnych zgromadzeń zakonnych.

W diecezji gliwickiej pracuje prawie 300 kapłanów diecezjalnych oraz 125 duchownych zakonnych. W seminariach duchownych diecezji opolskiej i archidiecezji katowickiej studiuje 56 kleryków diecezji gliwickiej.

Na terenie diecezji gliwickiej znajduje się 46 żeńskich domów zakonnych, w których mieszka i pracuje ponad 250 sióstr z 15 różnych zakonów i zgromadzeń.

JÓZEF BONCZOL



W szumie drzew i pamięci ludzi



budowę kościoła w miejscu gdzie obecnie droga zmierza w kierunku Kuźni Raci-borskiej. Dzisiaj wzdłuż łuku łagodnie opadającej drogi stoi wczesnogotycki kościół, a dalej budowle pocysterskie. Cy-stersi budowali kościoły surowe, nietyn-kowane wewnątrz, w kształcie krzyża, bez wieży, a jako wezwanie wybierali Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Pan-ny. Taka też świątynia stanęła w Rudach. Wieżę dobudowano później – dwukrot-nie, ponieważ dwa razy też spłonęła. W 1724 r. zakonnicy przystąpili do budo-
wy kaplicy.

Wraz z Cystersami do Rud dotarł obraz, którego znaczenie – dla mieszkań-ców tego regionu, a nawet bardzo odle-głych miejsc – stało się ogromne. Cystersi otrzymali ten obraz w Krakowie w 1228 r. od książąt Władysława i Kazimierza. Gdy wieść o szczególnie wysłuchiwanym mo-dlitwach za wstawiennictwem Maryi ro-zeszła się, do Rud ciągnęli pielgrzymi z różnych stron. Niestety, w 1810 r. król pruski wydał dekret o kasacji zakonów, którego egzekwowanie nie ominęło także rudzkie Cystersów. Niewiele później wydano dekret zabraniający pielgrzymo-wania.

Z czasem wierni coraz częściej zaczęli odwiedzać Częstochowę, Piekary i inne miejsca. Jednak przed obrazem Maryi Rudzkiej stałe płonęły świece i spotyka-no się na modlitwie.

Z okresem poreformacyjnym wiąże się kolejna legenda, która jest przekazywa-na. Był to czas upadku moralnego i gos-podarczego zakonu. Wtedy właśnie pod-czas modlitwy w kaplicy wierni usłyszeli trzask pękającego szkła i dostrzegli jak obraz niknie im przed oczami. Niedługo po tym wydarzeniu, ktoś poinformował, że obraz Matki Bożej z Rud widziany był w Jankowicach. Wierni szybko więc po-szli do tej miejscowości, by tam przepra-szać Boga w modlitwie. Kiedy wrócili, obraz był w kaplicy na swoim miejscu. To tylko legenda.

Prawdą są historie ludzkie, które ze-brał i spisał ks. prał. Władysław Kopeć. Odpowiedzi Boga na modlitwy usłyszane właśnie w tym miejscu, uzdrowienia, o które proszono tutaj...

Długo trwały spory czy obraz ten rze-czywiście jest tak stary i sięga XIII w. Na-wet ci, którzy interesowali się jego losami kilkakrotnie poczuli się zaskoczeni. Po raz pierwszy, gdy zamierzano koronować go, a okazało się, że nastąpiło to już wiele lat wcześniej. Po raz drugi zdziwili się, gdy podczas konserwacji prof. Małgorza-ta Szustel-Gawłowska zdejmując kolejne warstwy odkryła, że były aż... cztery. Trzykrotnie wcześniej malowidło było konserwowane.

Historia długa – prawda miesza się z le-gendą. Stare sędziwe drzewa ciągną się wzdłuż drogi i okalają budowle sprzed wieków. Wiele pokoleń przechodziło tędy, by w tym miejscu klęknąć przed Bo-giem. Dzisiaj także wielu powierza Mu swoje sprawy poprzez Matkę Bożą Rudz-ką.

M.F.

*Laskami
słynący obraz
Matki Bożej
z Rud oraz
fragment
wnętrza
kościola
pocysterskiego*





Bl. Teresa Benedykta od Krzyża (Edyta Stein)

Lubliniec – jej największa radość

Położony w północno-zachodniej części nowo powstałej diecezji gliwickiej Lubliniec był największą radością dzieciństwa i wczesnej młodości Edyty Stein – czyli bl. Teresy Benedykty od Krzyża – niemieckiej Żydówki, nawróconej następnie na katolicyzm, karmelitanki, zagazowanej w Oświęcimiu-Brzezince 7 sierpnia 1942 r. Nie urodziła się jednak w Lublińcu, lecz we Wrocławiu 12 października 1891 r. W Lublińcu mieszkali jej dziadkowie ze strony matki – Courantowie. Do dziś stoi tu w pobliżu rynku u wylotu ulicy Edyty Stein duży narożny dom, a na nim widnieje oryginalny odrestaurowany napis firmowy dziadka Samuela „S. Courant”.

Gdy matka Augusta wyszła za mąż za Zygryda Stein, rodzice Edyty po ślubie mieszkali przez kilka lat w naszym obecnym mieście diecezjalnym – w Gliwicach. Tu urodziło się troje jej starszego rodzeństwa. Na skutek problemów bytowych Steinowie wyprowadzili się jednak z Gliwic, „udali się oni w ojcyste strony mojej matki” – jak zapisze później Edyta w swojej autobiografii pt. „Dzieje pewnej rodziny żydowskiej” – czyli do Lublińca i zamieszkali u rodziców matki, Courantów. Po przyjściu na świat kolejnej trójki rodzeństwa dość liczna już rodzina z powodu pogłębiających się trudności materialnych wyprowadziła się z kolei do miasta urodzenia Edyty – do Wrocławia.

Jednak Lubliniec pozostał jej miastem ukochanym. Przyszła konwertytka, karmelitanka, męczennica oświęcimska i błogosławiona Kościoła katolickiego przyjeżdżała tu jako paroletnia dziewczynka i później do dziadków na wakacje. W swej wzruszającej autobiografii zanotuje: „Dom pozostał zawsze centrum dla tej szeroko rozgałęzionej i rozsypanej rodziny. «Jadę do domu» – mawiała moja sędziwa matka, gdy się tam wybierała. Dla nas, dzieci, nie było większej radości jak wakacyjny wyjazd do krewnych w Lublińcu (...). W tym małym miasteczku cieszyliśmy się wielką swobodą, gdyż specjalnie się nami nie zajmowano, oprócz tego, by było nam dobrze i byśmy byli zadowoleni. W obszernym domu dziadka można się było zupełnie inaczej poruszać niż w naszym ciasnym mieszkaniu czynszowym we Wrocławiu w latach naszego dzieciństwa. Znaliśmy tu każdy kąt i każdy radośnie witaliśmy (...). W dni targowe, kiedy do sklepu napływali gospodarze i nie starczało rąk, aby ich obsłużyć, mogliśmy – gdy już byliśmy więksi –



Edyta Stein wśród uczennic seminarium nauczycielskiego w Spirze



Jako pierwszy w Polsce i w świecie kościół pod wezwaniem bł. Teresy Benedykty wzniesiono w Stebłowej



Dom Courantów i tablica upamiętniająca pobyt Edyty Stein w Lublinie

trochę w tym pomagać. Jaka duma nas rozpieszcza z powodu naszej znajomości okrucieństw polskiego narzecza śląskiego pozwalającej nam porozumieć się z klientami (...).

Losami domu rodzinnego w Lublinie z niepokojem interesowała się też znacznie później, czemu dała wyraz w jednym z wielu listów do swego polskiego przyjaciela z lat wspólnych studiów w Getyndze i Fryburgu znanego filozofa Romana Ingardena. Jako niemiecka Żydówka w związku z akcją plebiscytową na Śląsku pisała Ingardenowi 30 listopada 1918 r.: „(...) bardzo proszę napisać coś dokładniejszego o sytuacji w Polsce (...). Zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić co się właściwie u was dzieje (...). Może Pan sobie również wyobrazić jak moje najbliż-

sze otoczenie ocenia polską agitację na Górnym Śląsku. Dotąd stoi tam rodzinny dom mojej matki, w którym jeszcze moje pokolenie widziało swoją ojczyznę (...).

Emocjonalne wrastanie i wrośnięcie Edyty Stein – bł. Teresy Benedykty od Krzyża w mikrohistorię Lublina upamiętnia tu dziś tablica na dawnym budynku Courantów: „W tym domu spędzała wakacje u dziadków Courantów EDYTA STEIN (1891 – 1942) ofiara Oświęcimia ogłoszona błogosławioną dn. 1.5.1987 r. przez Papieża Jana Pawła II”.

Przedmioty związane – raczej pośrednio – z Edytą Stein, z jej okresem judaistycznym, a także katolickim i karmelitańskim, takie jak symbole religijne, zdjęcia, podobizny błogosławionej, fotokopie listów, książki, schematy, wyniki kon-

kursów itp. – wyeksponowane są w poświęconej jej izbie pamięci zajmującej trzy pokoje na piętrze domu Courantów. Ma tu też swoją siedzibę lubliniecki oddział Towarzystwa im. Edyty Stein.

Gdy parę lat temu na obrzeżu Lublina – w Stebłowie – powstawała nowa parafia i przystąpiono tu do budowy kościoła, pierwszy jej proboszcz ks. Leonard Pająk skutecznie zabiegał, aby był to pierwszy kościół w Polsce i w świecie pod wezwaniem bł. Teresy Benedykty od Krzyża.

Miasto dzieciństwa i młodości Edyty Stein, będące wówczas jej największą radością. Odwzajemnia więc jak może wzniosła pamięć o swej wielkiej Mieszkanke. Pamięć ta przenika do serc współczesnych – i rozszerza krąg jej czcicieli.

JAN PLUTA



Kapłan o otwartym sercu i rękach

*Ks. Teodor Christoph
i jego grób na cmentarzu w Miasteczku Śląskim*



Ubiegły rok 1993 obchodzony był w diecezji gliwickiej jako Rok Księdza Teodora Christopa – świętobliwego duszpasterza w Miasteczku Śląskim koło Tarnowskich Gór, zmarłego 100 lat temu. Główne uroczystości rocznicowe z udziałem obydwu biskupów gliwickich – bpa Jana Wieczorka i bpa Gerarda Kusza – odbywały się w Miasteczku 10 lutego – w dzień śmierci niezapomnianego kapłana. Potem były tutaj jeszcze inne uroczystości – diecezjalne pielgrzymki księży, ministrantów do grobu ks. Christopa, święto nadania miejscowej szkole podstawowej imienia miasteczkovskiego duszpasterza.

Wszystkie Christophowe obchody przebiegały głównie w kościele parafialnym pw. Wniebowzięcia NMP, ale w centrum uwagi wszystkich był także grób świętobliwego kapłana na miejscowym cmentarzu. Tu bowiem pochowano go po 22-letnim duszpasterzowaniu w Miasteczku, a grób ten od początku stał się widzialną pamiątką niezwykle żywej pamięci kolejnych pokoleń miasteczkovskich parafian i okolicznych mieszkańców. Przez minione stulecie modlono się tu nie tylko za śp. ks. Teodora Christopa, ale także proszono o jego pośrednictwo u Boga w uzyskaniu niejednej łaski. Grób ten od dziesięcioleci był też celem pielgrzymek indywidualnych i grupowych. Grudki ziemi z tej szacownej mogiły zabierano jako remedium przeciw złu na trudne momenty życia.

Nie pochodził jednak z Miasteczka – urodził się bowiem 4 sierpnia 1839 r. w rodzinie nauczycielskiej we wsi Sobocisko – 11 km na północny zachód od Olawy. Z pięciorga żyjącego rodzeństwa miał starszego brata Wojciecha – także późniejszego kapłana, przedwześnie zmarłego – i trzy siostry.

Znalazłszy się we wrocławskim gimnazjum, Teodor uczył się też pilnie języka polskiego, chociaż przedmiot ten nauczany tu był na zasadzie dobrowolności. Los nie oszczędził mu jednak w tym czasie bolesnych doświadczeń – najpierw umarł mu na tyfus ojciec, a rok później także matka. Odtąd zdany był przeważnie na własne źródło utrzymania. Po złożeniu matury podjął się więc pracy fizycznej – został górnikiem w Królewskiej Hucie – jak wtedy nazywał się Chorzów. Niedosćigle są jednak zrządzenia Boże – na skutek dozanego wypadku przy pracy nie może dłużej wykonywać zawodu górniczego. Decyduje się na studia teologiczne na uniwersytecie wrocławskim. Po ich ukończeniu w 1864 r. – a więc w wieku 25 lat – Teodor Christoph przyjmuje święcenia kapłańskie.

I znów – jak sześć lat wcześniej – trafia teraz jako kapłan do Królewskiej Huty – dokładnie do Chorzowa Starego w charakterze wikariusza. Po 3 latach skierowano go stąd na podobną 4-letnią posługę duszpasterską do Krapkowic, a w 1871 r. na polecenie biskupa wrocławskiego objął tzw. lokalnię – czyli samodzielną placówkę duszpasterską – w Miasteczku Śląskim, należącym do parafii Żyglin.

Ks. Teodor Christoph na wyznaczonej mu placówce duszpasterskiej robił dokładnie wszystko to, czego oczekuje Bóg od swego kapłana – wzorowo i z miłością spełniał swoje obowiązki. Z upodobaniem oddawał się także pracy oświatowej – uczył i wychowywał ubogich chłopców, spóźnionych wiekowo na normalną naukę w szkole, bez względu na ich pochodzenie narodowe i wyznanie. Dziesiątki z nich zostało później kapłanami i zakonnikami. Chociaż niektórzy wnosili niewielką opłatę – w rzeczywistości była to charytatywna działalność ks. Christoph.

Do miasteczkowskiego duszpasterza garnała się nie tylko uboga młodzież, ale każdy biedny i potrzebujący pomocy, dla których kapłan ten zawsze miał coś do ofiarowania. Po jego śmierci napisano o nim: „Najwybitniejszą cechą jego charakteru była bezinteresowność. O wszystkich myślał, tylko nie o sobie. Co posiadał, nie należało do niego, lecz do innych. Przy swoich dochodach minimalnych zawsze miał jeszcze coś dla każdego ubogiego (...). Na uwagę swoich konfratrów odpowiadał uprzejmie «Dawać jałmużnę to mój obowiązek. Zużycie jałmużny to nie w mojej mocy». Oddawał wszystko tak dalece, że nie zatrzymał dla siebie rzeczy najpotrzebniejszych”.

Ten słabego zdrowia kapłan siłę i nadprzyrodzoną moc czerpał w wielogodzinnych adoracjach przed Najświętszym Sakramentem i przed wizerunkiem Matki Bożej Bolesnej w miasteczkowskim kościółku drewnianym z XVII w. – stojącym tu do dziś – w którym modlił się, bardzo często leżąc krzyżem w nocnych godzinach. W sanktuarium tym znajdują się jeszcze naczynia, szaty i paramenty liturgiczne, których używał do Mszy św. i nabożeństw świątobliwy ks. Christoph. Wzruszającą pamiątką jest tu też stary rozlatujący się konfesjonał, w którym ten znakomity spowiednik przesiadywał godzinami, słuchając spowiedzi i wyczekując penitentów. Niektórzy z nich wracali tutaj po latach i ze łzami w oczach całowali to miejsce swego pojednania z Bogiem.

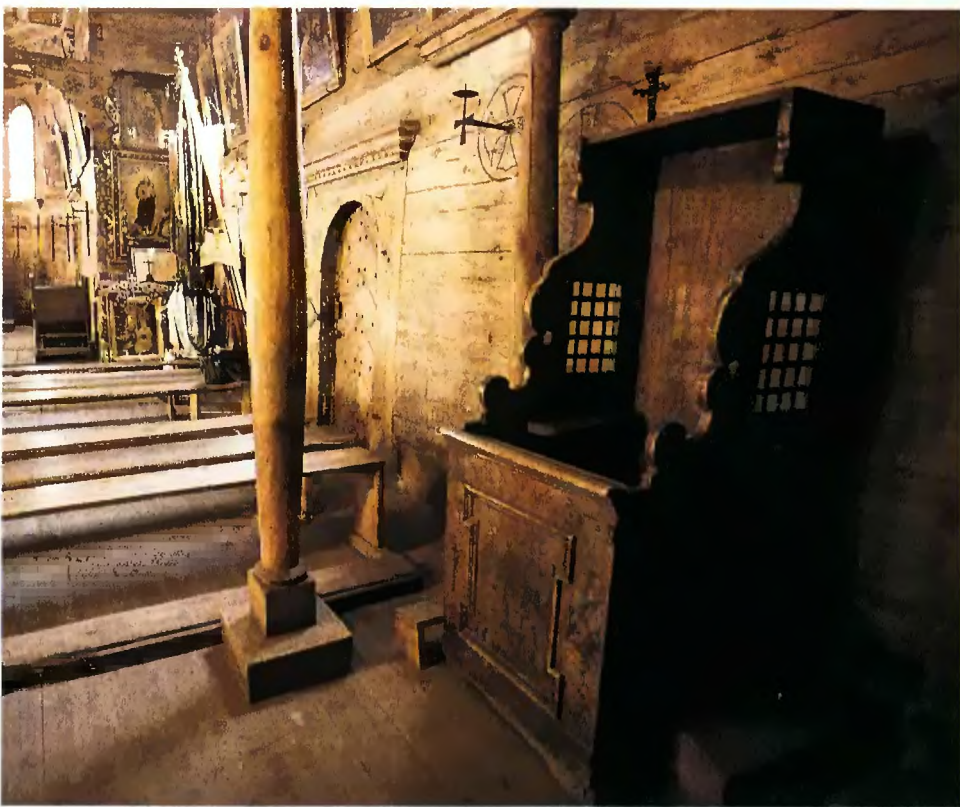
Gdy zmarł w 54 roku życia, tygodnik „Katolik” pod datą 16 lutego 1893 r. napisał o nim m.in.: „Jakim był kapłanem, o tym świadczy sława, jaką miał między ludem górnośląskim, który o nim mówił: To święty! I zaiste, nieboszczyk był wzorem doskonałym księdza i naśladowcą Chrystusa, albowiem wszystkie swe siły cielesne i duchowe poświęcał służbie Bożej i czynieniu dobrych uczynków bliżnim, a wreszcie i życie dał w ofierze”.

Dziś pamięć o świątobliwym duszpasterzu miasteczkowskim skutecznie animuje jego następcę – obecnego proboszcza w Miasteczku – ks. Paweł Laby, gorliwie wspierany w tym apostołstwie przez ks. bpa Jana Wiczorka, który gdy tylko przybywa do Miasteczka, swe kroki kieruje najpierw do grobu ks. Teodora Christoph. Natomiast ks. inf. Paweł Pyrchala jest głównym dokumentalistą diecezjalnym sprawy ks. Christoph. Dzięki tym

pasterzom Rok Księdza Teodora Christophy był początkiem modlitw o wyniesienie go na ołtarze. Biskup Gliwicki pragnie bowiem, by Ksiądz Teodor Christoph stał się beatyfikowanym patronem jego młodej diecezji. Stawiając go za

wzór swoim kapłanom, wskazał na świątobliwego duszpasterza miasteczkowskiego jako na „postać wiecznie żywą” i „kapłana o otwartym sercu i rękach”.

MACIEJ KRESOWIEC



Kościół, z którym ks. Christoph związany był przez wiele lat duszpasterzowania, oraz konfesjonał, w którym spowiadał



Ośrodek Rehabilitacyjno-Edukacyjny dla Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej w Rusinowicach

Niebieskie drogowskazy



Mozaika autorstwa prof. Stanisława Kluski w kaplicy Ośrodka

Rusinowice – niewielka miejscowość pośród lublinieckich lasów. Niska zabudowa i wąskie drogi w większości pozbawione chodników. Zdaje się, że rytm życia tej miejscowości wyznaczają w pewien sposób regularnie opuszczane zapory kolejowe wraz z przejazdem kolejnego pociągu. Jest tu spokojnie, cicho.

Nie dziwi więc, że na miejsce Rehabilitacyjno-Edukacyjnego Ośrodka dla Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej wybrano właśnie tę miejscowość. W roku 1990, kiedy to projekt – autorstwa inż. arch. Jacka Lewandowskiego i inż. arch. Zygmunta Radziejewicza-Winnickiego we współpracy z inż. Walterem Kaplanem z amerykańskiej fundacji „Project Hope” – został zatwierdzony, rozpoczęto budowę. Początkowo nad realizacją tego przedsięwzięcia czuwał ks. Henryk Golek. Po jego tragicznej śmierci rolę tę przejął kolejny proboszcz w Rusinowicach, ks. Franciszek Balion. Budowę zakończono w styczniu 1994 r., a w kwietniu pojawiły się tutaj pierwsze dzieci na wózkach inwalidzkich. Dzięki funduszom Wspólnej Komisji ds. Pomocy Humanitarnej przy Ambasadzie USA w Warszawie, a także pomocy finansowej Ojca Świętego i Episkopatu Włoch stanął ośrodek funkcjonalny, nowoczesny, bardzo dobrze wyposażony.

Niebieskie drogowskazy umieszczone na skrzyżowaniach rusinowickich ulic bezbłędnie kierują do ośrodka. W końcu stajemy przed rozłożystym, płaskim kompleksem o nowoczesnej formie. Wszyscy przyjeżdżający tu witani są w obszernym, oszklonym holu. Ośrodek przyjmuje dzieci i młodzież z dysfunkcją narządów ruchu, a także chorych na cukrzycę insulinozależną.

Rehabilitantami są rodzice

Właśnie rozpoczął się ósmy turnus edukacyjno-rehabilitacyjny. Przez 28 dni dzieci wraz z opiekunami – najczęściej jednym z rodziców – będą tutaj mieszkać i razem uczyć się, bawić, wykonywać ćwiczenia, a także odpoczywać. Specyfiką tego ośrodka jest bowiem udział rodziców w rehabilitacji dzieci. Przyjeżdżając ze swoimi niepełnosprawnymi dziećmi do Rusinowic nie oddają ich w ręce pracujących tutaj fachowców, ale pod ich okiem sami stają się rehabilitantami.

Kilka tygodni w rusinowickim ośrodku jest czasem ciężkiej pracy zarówno dla dzieci, jak i rodziców – w formie zabawy, urozmaiconych ćwiczeń – ale jednak pracy. Zajęcia rehabilitacyjne odbywają się tutaj przed i po południu. Rodzice przyjeżdżają tu z różnymi oczekiwaniami, pragnieniami, obawami, ale i wcześniejszymi doświadczeniami – nie zawsze dobrymi. Żaden pobyt w ośrodku nie zastąpi 24 godzin na dobę spędzonych razem z dziećmi w domu. I to właśnie od codziennej pracy z dziećmi zależy, jakie postępy zrobią. Dlatego właśnie założeniem ośrodka w Rusinowicach jest pomoc w tej codziennej rehabilitacji domowej. Pobyt tutaj jest jakimś epizodem w ich życiu, z którego doświadczeń mogą później korzystać.

– Nasza praca jest zapoczątkowaniem czegoś – mówi jedna z terapeutek. – Ma być pomocą w codziennym życiu. Nawet nie tyle uczymy konkretnych ćwiczeń – chociaż rodzice uważnie „podglądają”, co można wykorzystać w domu – ale „uczymy” praktycznego, codziennego życia: jak dziecko nosić, jak je sadzać, jak karmić.

Chwilę wcześniej rehabilitantka pokazywała mamie, jak ustawić dziecku nóżki na wózku. I choć początkowo wydaje się to beznadziejne, bo stopy zaraz zjeżdżają w dół – trzeba je poprawiać choćby co chwilę. Aż pozostaną na właściwym miejscu.

„Odczarowanie” mitów

Mama małego Szymona była już w innych ośrodkach, zna różne metody terapeutyczne, ćwiczy z synkiem w domu. Inni rodzice pewnie słyszą po raz pierwszy. Tutaj mają możliwość szerszego spojrzenia na rehabilitację dziecka – uwolnienia się od wiary w jedną metodę, poszukiwania „cudownego” środka, czasem pozbawienia się złudzeń. Rodzice tracąc złudzenia, zyskują zarazem wiarę, że dzięki systematycznej pracy dziecko może się rozwijać i może normalnie żyć mimo swojej niepełnosprawności.

– Nasz ośrodek proponuje pełną rehabilitację: i fizyczną, i psychiczną. Jest to intensywna praca i ogromny wysiłek – mówi dr n. med. Kazimierz Berezowski. – Ale jest to potrzebne, bo przecież dziecko w domu powinno być rehabilitowane przez rodziców. Ważna jest tutaj otwartość na różne metody i przekonanie, że dziecko niepełnosprawne może żyć normalnie, samodzielnie.



Ośrodek proponuje pełną rehabilitację fizyczną i psychiczną

Czasem właśnie w ośrodku wydarza się w rozwoju dziecka coś, co jest dla rodziców „cudem”. Tak było z 9-letnim Bartusiem, który pierwsze w życiu kroki postawił tu, w Rusinowicach. Tak też było z 11-letnim chłopcem poruszającym się na wózku, niewiele mówiącym, a przede wszystkim nie akceptującym swojej inności. Dla niego także tutaj stało się coś bardzo ważnego. Przede wszystkim zapragnął wstać z wózka... i tak się stało podczas jednego z nabożeństw. Czasami jednak nie wydarza się nic, co można by określić

„pierwszym krokiem”, i to wcale nie oznacza, że pobyt w ośrodku nie był znaczący.

Nowocześnie i domowo

Przechodząc przez kolejne części ośrodka mijają się zespół pomieszczeń do rehabilitacji, trzy zespoły dziesięciopokojowe, w których mieszkają dzieci z rodzicami. Dalej sala gimnastyczna z mnóstwem kolorowych, większych i mniejszych, piłek. Na rozłożonych materacach rodzice wykonują z dziećmi ćwiczenia.

► W pogodne dni promienie zachodzącego słońca wypełniają całą salę. W następnym pomieszczeniu dzieci zwykle najbardziej lubią przebywać. Basen z możliwością wodnych masażów przyciąga nawet tych, którzy niechętnie ćwiczą.

Miejsca do zabawy i wspólnych zajęć ozdobione są pracami dzieci. Kolorowe obrazki, drobne przedmioty wypełniają wnętrza i nadają im cieplejszy, domowy charakter. Pozostały przecież po tych, którzy przez kilka tygodni byli tu domownikami. Ktoś wykleił kolorowymi kulkami papieru wielkiego muchomora, ktoś inny białą kaczkę. Pośród tych kolorowych ozdób siedzą w kółeczku dzieci wraz z opiekunami i rehabilitantką. Z daleka słychać ich śpiew, co chwila przerywany wybuchem gromkiego śmiechu.

Psycholog w ośrodku opiekuje się dziećmi, a także służy radą rodzicom w ich własnych problemach.

– Po wieczorze terapeutycznym, który był dwa dni przed końcem ostatniego turnusu, następnego dnia ustawiła się przed moim pokojem cała kolejka – mówi Jan Tomiczek, psycholog. – Rodzice tych dzieci często są po prostu zmęczeni. Przychodzą do kogoś, kto ich zrozumie. Często w takiej rozmowie nie potrzeba słów.

Kiedy jest ciepło, opiekunowie mogą wybrać się z dziećmi na spacer. Obiekt otoczony jest rozległym, zielonym terenem. Ci, którzy wolą posiedzieć na świeżym powietrzu, wybierają patia, także ozdobione zielenią.

W kolejce

Do tej pory w Rusinowicach nie pojawiły się dzieci poniżej 3 lat. Ks. Franciszek Balion, dyrektor ośrodka, ma jednak nadzieję, że zostanie zorganizowany turnus także i dla nich. Problem leży w pewnych zmianach technicznych, np. przystosowaniu kuchni do innego karmienia. To wymaga środków finansowych, ośrodek w tym względzie liczy na obiecaną dotację z Ministerstwa Zdrowia. W tej chwili w dokumentacji leży 50 wniosków dzieci poniżej 3 lat, czekających na swoją kolejkę, czyli w obecnej sytuacji na swoje trzecie urodziny. A przecież w przypadku tych schorzeń liczy się każdy miesiąc.

Do Rusinowic przyjeżdżają dzieci z całej Polski. Kolejka jest długa – aktualnie jest 300 oczekujących. Spotykają się z fachową pomocą, otwartością i życzliwością – tak wykazała ankieta przeprowadzona wśród uczestników jednego turnusu.

– Chciałbym, żeby pracowali tu ludzie, którzy czują się powołani. Tego miejsca nie można porównać z sanatorium czy szpitalem – mówi ks. Franciszek Balion. – Troszczymy się tutaj o całego człowieka – w sensie fizycznym i duchowym. Niektórzy z przyjeżdżających tu opiekunów przeżywają coś na kształt rekolacji, wracają do modlitwy, po latach przystępują do spowiedzi...

Muzeum ciągle żywe

Muzeum w Gliwicach jest najstarszą tego typu placówką na Górnym Śląsku. Powstało w 1905 r., w przyszłym roku będzie więc obchodzić jubileusz 90-lecia istnienia. Gliwickie Muzeum zajmuje pięć budynków. Główny, nazywany Willą Caro, jest obecnie w remoncie. Zwiedzającym zostanie udostępniony już niebawem, bo w roku jubileuszowym. W tej chwili wystawy stałe i czasowe można oglądać w Zamku Piastowskim. Zamek jest jednocześnie siedzibą dyrekcji. Mieszcza się tu ponadto działy archeologii, historii, etnografii oraz dział oświatowy. Wystawy prezentowane w zamku promują najczęściej sztukę dawną. Sztuka współczesna eksponowana jest w Galerii Ratusza, z którą muzeum współpracuje.

Interesującą filią gliwickiej placówki jest Muzeum Odlewnictwa Artystycznego. Mieści się ono w zabytkowej hali produkcyjnej dawnej Huty Gliwickiej (dziś GZUT). Sam obiekt, jak i kolekcja odlewów ma charakter unikatowy w skali światowej. Wystawa stała prezentuje odlewy stare, a także współczesne wyroby GZUT-u. Muzeum Odlewnictwa Artystycznego uhonorowane zostało nagrodą I stopnia w Ogólnopolskim Konkursie na Najciekawsze Wydarzenie Muzealne w 1991 r.

Kolejnym muzealnym obiektem jest budynek, będący siedzibą administracji, działu sztuki i pracowni konserwatorskiej. Warto dodać, że znajduje się tam również humanistyczna biblioteka naukowa, posiadająca 13 tys. wolumenów.

Muzeum gliwickie dzięki ilości i jakości zbiorów oraz szerokiej działalności wydawniczej jest placówką reprezentującą poziom europejski. Potwierdzeniem tego jest fakt przynależności do Międzynarodowej Rady Muzeów z siedzibą w Paryżu. Muzeum jest członkiem Rady od trzech lat i uczestniczy we wszystkich konferencjach przez nią organizowanych. W naturalny sposób poszerza swoje międzynarodowe kontakty.

Dyrektor gliwickiej placówki Danuta Skałuba podkreśla, że wszystkie inicjatywy przez nią podejmowane służą ożywieniu muzeum, a co za tym idzie wyrobieniu naturalnego nawyku bywania w nim. Osiągnięcia w tym względzie są widoczne. W ciągu ostatnich lat liczba zwiedzających wzrosła z 2 do 16 tys. Służy temu przede wszystkim różnorodna działalność pozawystawiennicza. Muzeum organizuje rocznie 50 imprez (w tym wystawy).

Ciekawą inicjatywą są tzw. czwartkowe spotkania muzealne, organizowane raz w miesiącu. Zaproszeni goście to naukowcy, artyści, ludzie kultury, a także pasjonaci różnych dziedzin, a więc historycy amatorzy, kolekcjonerzy. Tematyka spotkań wiąże się z historią, kulturą i sztuką miasta i regionu. Często są uzupełnieniem tematyki aktualnie trwającej ekspozycji czasowej. Pod patronatem muzeum odbywają się także od trzech lat sympozja naukowe. Organizowane są z okazji Dni Kultury Gliwickiej.

Popularne w Gliwicach są konkursy organizowane przez muzeum. Rozpię-





tość wiekową uczestników można określić krótko: od wieku przedszkolnego do wieku studenckiego. Najczęściej są to konkursy plastyczne, historyczne, fotograficzne. Ciekawym przedsięwzięciem są zabawy teatralne, polegające na ożywianiu wystawy stałej. Wykonawcami są dzieci z kółek teatralnych i plastycznych. W przygotowaniach uczestniczą także pracownicy działu naukowego. Głównym tematem zabaw są Gliwice w średniowieczu. Dla potrzeb przedstawienia rekonstruuje się średniowieczne wnętrza, przedmioty i stroje.

Ofertą dla nauczycieli i uczniów są lekcje muzealne. Proponowane tematy dają dużą możliwość wyboru i stanowią doskonałe uzupełnienie programu nauczania języka polskiego, historii i plastyki. Muzeum współpracuje także ze szkołami specjalnymi. Ich uczniowie, a także ludzie niepełnosprawni i starsi mają zapewniony darmowy wstęp.

Pracą naukowo-badawczą zajmują się działy: etnograficzny i archeologiczny. Osiągnięciem gliwickich archeologów jest wyeksplorowanie w Świbiu 550 grobów, należących do kultury halsztaackiej. Prowadzona jest także działalność wydawnicza. Wydawany jest „Rocznik Muzeum w Gliwicach”. Inne serie dokumentują historię miasta i regionu.

W zbiorach muzeum znajduje się około 80 tys. eksponatów. Najcenniejsze z nich to: kolekcja odlewnictwa artystycznego oraz zbiór XIX-wiecznych grafik

Knippla. Ponadto muzeum posiada szeroki zestaw szkła artystycznego, zbiór porcelany i biżuterii artystycznej. Ciekawą kolekcję stanowią biedermeierowskie meble gdańskie. Muzeum posiada w swoich zbiorach ciekawe eksponaty malarstwa europejskiego i polskiego. Na uwagę zasługuje także broń samurajska. Nie brak również eksponatów pochodzących z prac wykopaliskowych.

Przyszłość gliwickiego muzeum wiąże się z zakończeniem remontu i otwarciem Willi Caro. Już teraz czynione są przygotowania do zorganizowania w niej Uniwersytetu Kultury. Uniwersytet będzie miał charakter studiów podyplomowych. Będą prowadzone zajęcia z zakresu: kultury, sztuki, religii oraz sportu. Ponadto planuje się otwarcie drugiej w Polsce (pierwsza znajduje się w Toruniu) Galerii Twórczości Dziecięcej. Klub pod Lwem zajmie się natomiast promocją młodych talentów. Dzięki temu będą mogli pokazać się szerszej publiczności olimpijczycy, poeci, muzycy, plastycy i ci, którzy mają coś ciekawego do zaprezentowania. Wszystko więc wskazuje na to, że muzeum będzie nadal żywe i potrzebne gliwiczanom.

W. T.

Huta Gliwicka na dziewiętnastowiecznej litografii E. W. Knippla (ilustracja u góry) i przykłady gliwickiego odlewnictwa artystycznego (ilustracje obok) ze zbiorów Muzeum

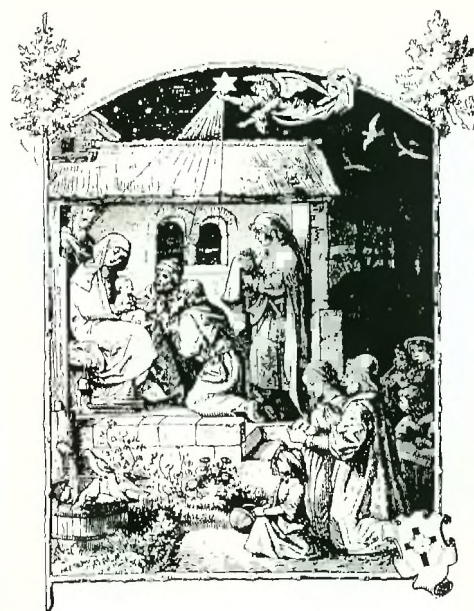


J. W. Goethe



Księżniczka Wanda Radziwiłłówna

Śląska wilija



W Polsce święta Bożego Narodzenia zaczęto obchodzić w X w. Wczesne nazwy gody lub godnie święta miały związek z dawnym kalendarzem. Wówczas ostatni dzień starego i pierwszy dzień nowego roku przypadły na 24 i 25 grudnia. To zetknięcie nazywano godami. Również na Górnym Śląsku święta mają bogatą tradycję.

Wigilia zwana tutaj wiliją lub świętym wieczorem była dniem czuwania. Panował bowiem zwyczaj gromadzenia się w kościele i modlitewnego oczekiwania na Pasterkę. W najdawniejszych czasach Pasterka odbywała się wezwanie rano i zwana była jutrznią. Dla domowników wigilia była dniem wyjątkowym. Wszystkie gesty i zachowania miały tego dnia znaczenie symboliczne. Uważano, że sposób postępowania w tym dniu jest wróżbą na najbliższy rok. Wróżby miały najczęściej charakter agrarny (głównie na wsiach) i osobisty. Dotyczyły one przyszłości, a więc zdrowia, szczęścia, dobrych plonów. Pamiętano również o zmarłych, pozostawiając przy stole puste miejsce, wrzucając resztki wierzery

Świąteczna choinka – trwa także dziś, choć zmienia się jej przybranie



Przywraca się tradycję stawiania szopek nie tylko w kościelnych wnętrzach, ale także domowych

do ognia lub nie chowając ich ze stołu na noc. Ostatnio coraz częstszy jest zwyczaj odwiedzania grobów swoich najbliższych.

Gospodyniom dzień wigilijny upływał na sprzątaniu i przygotowywaniu wieczerzy. Potraw należało przygotować tyle, aby wystarczyło na dwa dni. Panował bowiem zwyczaj, że w dniu Bożego Narodzenia nie wolno było gotować, lecz tylko podgrzewać potrawy. Typowym zajęciem w wigilijny ranek było mozolne tłuczenie konopii umożliwiające przygotowanie tradycyjnej siemieniotki. Dawnym zwyczajem, który zanikł na początku XX w., było strzelanie z bicia, które odbywało się przed pańskim dworem.

Do wieczerzy domownicy zasiadali odświętnie ubrani, gdy na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda. Zapalano świece na stole i choince. Rozpoczynano wigilijną wieczerzę modlitwą „Ojcze nasz” lub „Anioł Pański”. W modlitwach pamiętano też o zmarłych. Potem łamano się święconym opłatkiem, co symbolizowało zgodę i jedność w rodzinie. Na Śląsku znany był polski zwyczaj stawiania snopa

żyta w kącie izby, w której spożywano wieczerzę. Ścielono również słomę na podłodze i pod obrusem. Te obrzędy zachowały się do czasów II wojny światowej.

Najważniejszą potrawą wigilijną była wspomniana siemieniotka — polewka z siemienia konopnego i kaszy jaglanej. Spożywano też śledzia, karpia i makówki. Jedną z najstarszych potraw była moczka (lub moczka) przyrządzana z suszonych śliwek. Przed kolacją wigilijną obowiązywał dawniej całonocny post. Pościły także dzieci, wierząc, że w nagrodę ujrzą w studni złote prosiątko. Po skończonym posiłku resztki rozrzucono po polu, zakopywano w ogrodzie lub dawano bydłu. Prastarym zabiegiem było obwiązywanie drzewek owocowych. Wigilijna wieczerza kończyła się wspólnym kolędowaniem i uczestnictwem w Pasterece, co miało przynieść szczęście w nowym roku.

Nicodłęcznym atrybutem godów na Górnym Śląsku, który na dobre rozpowszechnił się po ostatniej wojnie, była choinka. Obok typowej dzisiaj choinki stojącej (która przybyła z Alzacji), moż-

na było spotkać choinki zawieszone u sufitu szczytem w dół. W tradycji śląskiej popularny był żłóbek, czyli szopka zwana też betlejką. Konstrukcja śląskiej szopki była prosta, stylizowano ją bowiem na pasterski szałas. Prostotą różniła się np. od szopki krakowskiej, która przypominała kościół. W szałasie ustawiano drewniane figurki i żłóbek z Dzieciątkiem.

Na Śląsku wyróżniano pierwszy dzień świąt. Nie gotowano wówczas i nie sprzątano, obowiązywał rygor zachowania. Dzień św. Szczepana (26 grudnia) miał nastrój swobodniejszy i nie obowiązywały zakazy. Po porannej Mszy św. spędzano go w gronie rodzinnym, odwiedzając się wzajemnie. Porządkowano domy na przyjęcie kołędników.

Najwcześniej odwiedzali domy pastuszkowie, skromnie odziani z kijem w rękę i szopką. Dawali przedstawienia lub tylko kolędowni. Czasem dziewczęta obnosiły po domach małą kolebkę. Szczególnie popularne były na Śląsku tzw. herody. Kołędnicy dawali w izbach chłopskich przedstawienia, które były popularną formą teatru ludowego.

W.T.



Kolędowanie

*U tego pana
Biała kamienica;
Urodzi się żyto
I jara pszenica.*

*Dajże Panie Boże,
Coby się zrodziła,
Coby nas ta pani
Na żniwo prosiła.*

*Jeszcze nie żniecie,
Ani nie wiążecie,
A już wiecie, co za nią
Odbierzecie.*

*Zbierzcie, zbierzcie
Trzy bite talary,
Będą wam się
Po stole kulały;*

*Trzy bite talareczki
Do skrzyneczki
Będą biegaly
Niby przepióreczki.*